

słał dwóch pewnych i silnych ludzi, następnie do garażu „Gwiazdy“, aby przygotowano do mojej dyspozycji najlepszy automobil, który miał dniem i nocą stać w pogotowiu przed moim mieszkaniem.

W dziesięć minut później Parpaing wchodził do mojego gabinetu. Przybywał prosto z biura dyrektora policji, który mu podał następujące szczegóły, dotyczące bytności Lopeza w Paryżu: „Automobil wynajęty został w garażu w Wersalu, gdzie od dni trzech Lopez zamieszkał w Hotelu Cudzoziemców z siostrą swoją i garderobianą Manuella. Była z nimi jeszcze młoda dziewczyna, która wydaje się być bardzo chorą“.

— Ach, do diabła! — zawolałem. — Ci nędznicy musieli ją uspić narkotykami i wywieźć przemocą, inaczej nie byłaby im uległa tak prędko!

— To jest bardzo prawdopodobne — odpowiedział Parpaing — i ten zbytek ostrożności zgubić ich może.

— Czy znajdują się jeszcze w tym hotelu?

— Nie. Ale posłuchaj mnie pan. Lopez zapisał się tam pod nazwiskiem pana Benoit, podróżującego z siostrami i panną służącą. Zaraz po przybyciu udał się za poszukiwaniem willi w okolicy Wersalu, gdzie zainstalował się nazajutrz. Towarzyszącą rodzinie młoda dziewczyna była tak osłabiona, że musiano ją przewieźć powozem. Otóż od człowieka, który ten powóz wynajął, policja dowiedziała się o adresie Lopeza. Tenże zaś, ażeby odwrócić wszelkie podejrzenia od siebie, powracając do Paryża, kazał się zawieźć na dworzec kolejowy do Chautiers, jak gdyby stamtąd zamierzał odjechać. Ale przyznać musimy, że mamy do czynienia z chytrym ptaszkiem, nieprawdaz?

— Ale adres? Ten adres willi? — zawolałem niecierpliwie, rozumiejąc tylko rzecz jedną, że tam znajduje się panna Louviers.

— Na drodze z Wersalu do Saint Cloud, na brzegu lasu Fausses-Reposes, willa „Iridée“.

Nie słuchałem już dalszych wywodów pana Parpaing. Dowiedziałem się nareszcie tego, na czym zależało mi najwięcej. Od dnia poprzedniego automobil, przysłany z garażu, stał przed moim mieszkaniem, wywołując zaciekawienie i komentarze sąsiadów. Szofer był pewnym i uczciwym człowiekiem. Zbiegłem, jak szalony, po schodach i wskoczyłem na maszynę, nagłąc do pospiechu pana Parpaing i dwóch detektywów, mających nam towarzyszyć. W chwili, kiedy mieliśmy już ruszyć, do automobilu wskoczył Maryusz, zdyszany i zmęczony. W ręce trzymał pakiet starannie owiązany.

— Co to jest takiego? — zapytałem go zaintrygowany, kiedy maszyna ruszyła już z miejsca i pędziła z szaloną szybkością we wskazanym kierunku.

— To? — odpowiedział Maryusz, uśmiechając się tajemniczo. — To jest rzecz, która na razie nie powinna interesować pana, panie Fontaine. Przydać się jednak może przy stosownej okoliczności.

W pół godziny później dojeżdżaliśmy do lasu, oddalonego od willi o kilkaset metrów zaledwie.

Kazałem stanąć szofera i resztę drogi postanowiłem odbyć pieszo. Trzeba było bardzo ostrożnie działać z tak silnym przeciwnikiem, jakim był Lopez.

Jeden fałszywy krok, a mogliśmy spowodować ostateczne nieszczęście na istotę, którą pragnęliśmy tak bardzo wyrwać z pod władzy tego strasznego zbrodniarza.

Musieliśmy więc nagle, bez żadnego ostrzeżenia zjawić się na miejscu i zaskoczyć go tem nieoczekiwanem najściem.

Tajemnica umarłego.

Schronienie Lopeza było silnie strzeżone.

Wysoki, blisko dwumetrowy mur otaczał ogród, w którym wznosił się pawilon.

Brama szeroka, żelazna przerywała mur ten na przeciw drogi wjazdowej, z której widok, niczem nieocieniony, biegł przez trawnik, prosto na pawilon. Nie było nawet można marzyć o przekroczeniu bramy, bez zwrócenia uwagi służby lub mieszkańców willi.

Pozostawał więc tylko mur, przez który dostać musieliśmy się, używając do tego jakiejś nadzwyczajnej pomocy.

Parpaing zaproponował, aby wysłać szofera za poszukiwaniem drabiny, ale Maryusz sprzeciwił się temu.

— Drabina będzie zupełnie niepotrzebna! — rzekł, rozwijając swój tajemniczy pakiet. — Nie napróżno pochodzę z Marsylii, gdzie ludzie nie od parady noszą głowy na karkach. Co pan o tem myśli, panie Fontaine?

— Cóż to jest? — zawolałem zdziwiony — łąso?

— Tak, łąso, i to najprzedniejszego gatunku.

— I do czego posłużyć panu może w tej okoliczności?

— Zaraz się pan przekona, proszę tylko iść za mną.

Silnie zaciekawieni podążyliśmy za nim. Zaprowadził nas do miejsca w murze, nad którym wznosiło się drzewo olbrzymie. Jedna grubsza gałąź zwieszała się aż na drogę, na której staliśmy. Maryusz zręcznie zarzucił łąso. Okręciło się kilkakrotnie koło gałęzi, a koniec zawisł w powietrzu na wysokości naszych ramion.

— No, a teraz — zawołał Maryusz — proszę korzystać z tej windy. Kto ryzykuje iść pierwszy?

Pochwyciłem sznur i w minucie byłem już po drugiej stronie muru, w ogrodzie. Za mną pospieszył Parpaing, detektywi i Maryusz, który zaraz odkręcił łąso i ukrył w kieszeni. Mogliśmy teraz do woli torować sobie drogę w gąszczach ogrodu.

Noc zapadała szybko i ułatwiała naszą przeprawę. Chociaż nie lekaliśmy się spotkania z don Lopezem, ogarnął mnie dziwny niepokój i wzruszenie.

Dwa szerokie pasma światła biegnęły od pawilonu, rzucając jasne plamy na ogród. Biegły one od drzwi szklanych i okna otwartego, skąd dochodził nas szmer głosów. Jeden głos szorstki i gniewny należał do mężczyzny, drugi był słaby, przerywany... Dyszałem silnie na ten dźwięk znajomy. Przysunęliśmy się jak najbliżej do domu, starając się nie wychodzić z cienia drzew. Oddzielał nas tylko trawnik silnie oświetlony.

Zaczejeni w tej kryjówce mogliśmy zresztą widzieć i słyszeć wszystko.

Przez drzwi szklane zajrzałem do wnętrza pokoju.

Dojrzałem Lopeza w zuchwałej postawie, stojącego nad Niną, napół leżącą na kanapie. Błądą, zmienioną jej twarz ożywiał blask niezwyklej energii i stanowczości. Widocznie do ostatniej chwili chciała stawić czoło dręczącemu ją nędznikowi. Lopez odwrócony był do nas plecami, tak, że wyrazu jego twarzy dojrzeć nie mogłem.

Dolores i Manuela stały przy oknie, wsparte o framugę, zwrócone na ogród. Od czasu do czasu jednak odwracały się niespokojnie, śledząc widocznie przebieg rozmowy Lopeza z Niną.

Rozmowa ta, a właściwie kłótnia, stawała się coraz żywszą i donośniejszą.

— Czy mam się rzucić między nich? — szepnął Maryusz, chwytając mnie za rękę.

— Nie! Jeszcze nie! Cicho! Słuchajmy!

Lopez gorączkowym ruchem potrząsał teraz przed oczami młodej dziewczyny jakiś papier.

Dobiegł nas wyraźny i spokojny głos Niny, która cokolwiek uniosła głowę i patrzyła prosto w twarz swojego przeciwnika.

— Pan wie doskonale — mówiła — że ojciec mój nigdy nie był złodziejem, że ten papier, który niby ma jego oskarżać — pana oskarża najwięcej. Ten domniemany dowód jego nieuczciwości jest jasnym dowodem zbrodni, której się pan dopuścił, bo znalazł go pan w kieszeni pana Fontaine, zamordowanego przez pana. I nie dosyć, że wymuszałeś od niego za życia większe sumy — pokusiłeś się jeszcze o zawartość jego kasy...

— Zamilcz! Słyszysz! Ani słowa więcej.

— Nie będę milczeć! Nie może mi pan zabronić rozgłosić treści testamentu mojego ojca.

Przy tych słowach odważna dziewczyna powstała i chwiejąc się, z błyszczącymi oczyma, mówiła dalej, podchodząc do Lopeza:

— Jak również nie jest pan w stanie zabronić mi w wykonaniu podwójnej misji, przez ojca złeczonej mi w chwili jego śmierci. Kazał mi przysiąc, że wydam pana słuszej zemście syna pana Fontaine i że oczyścę pamięć jego zhańbioną przez pana. Dręczyłeś przez lat dziewięć tego nieszczęśliwego człowieka, pastwiąc się na nim niegodnie i grożąc publicznym wyjawieniem treści tej kartki; następnie zmusiłeś go pan do poślubienia niegodnej kobiety, którą pogardzał i którą nienawidził z całej duszy, bo była siostrą pana! Zabraniam panu także przestaczać w czyn karygodny wspaniałomyślną lekkomyślnością chwilową mojego ojca, która uczyniła z niego męczennika jak najsłabszej idei. Ten skromny i wzorowy urzędnik przez wdzięczność za doznana życzliwość swojego chlebobawcy, nie tylko poświęcił swój mały kapitalik do ostatniego centa, ale jeszcze miał odwagę narazić się na miano złodzieja i pozwolił, aby człowiek, którego żonę ratował przed zemstą i niecną chciwością pana, miał o nim jak najgorsze mniemanie. Przecież się pan nie ośmieli zaprzeczyć, że w zamian za listy tej nieszczęśliwej kobiety, pochodzące z czasów jej narażenia, zażądał pan pięćdziesięciu tysięcy franków okupu!

Dziwne uczucie ulgi ogarnęło mnie na dźwięk

tych słów. Ukazała mi się nareszcie prawda z całą jaskrawością, zrzucając ciężar winy z pamięci człowieka, który był uosobieniem wspaniałomyślności.

Więc taką była tajemnica nieszczęśliwego, z którą zeszedł do grobu, we wzniosłem zaparcie się własnej istoty — nie oskarżając nikogo!

— Rzucam to oskarżenie w oczy pana i głosić będę przed całym światem, że pan, pan jeden jedyny jest mordercą pana Fontaine i...

Już nie mogłem dłużej opanować swoich nerwów, wyciągnąłem błyskawicznie rewolwer z kieszeni i wymierzyłem do Lopeza. Ale było już zapóźno!

Nędznik pochwycił brutalnie Ninę za rękę, opierającą się z całych sił... Nie mogłem już strzelać w obawie nie zranienia jej.

Upłynęło pół minuty, która wiekiem mi się być zdawała. Dochodziły mnie urywki tragicznego dialogu, przerywanego ciężkim, dyszącym oddechem mówiących.

— Słuchaj! — szeptał Lopez zdławionym głosem, nie wypuszczając z rąk swoich Niny — Jeżeli mi nie przysięgniesz na głowę ojca, że zachowasz tę tajemnicę dla siebie, nie wyjdiesz stąd żywa.

— Podty! — zawołała Nina, wyrывая mu się energicznie — Nie liczę, że ułękne się tej groźby! Twoja przysięga nie zniszczy mojej. Gdyby mnie nawet życie kosztować miało, dotrzymam zobowiązania mojego względem ojca!

— Czy to ostatnie twoje słowo?

— Tak! Ostatnie!

— Wystrzel pan w powietrze! — podszepnął mi Maryusz i pobiegł przez trawnik ku oknu.

Posłuchałem go instynktownie.

Już nędznik, wypuściwszy z rąk dłonie Niny, pochwycił ją pod gardło w uścisk śmiertelny.

Na odgłos strzału podniósł głowę. Tegoż właśnie oczekiwał Maryusz. Swisnęło łąso w powietrzu w błyskawicznym pędzie, zaważyło się sekundę nad głową Lopeza i spadło z dziwną zręcznością na jego szyję.

Bez jęku, napół zduszony napastnik musiał puścić swoją ofiarę, instynktownym ruchem usiłując zerwać sznur, zaciskający się coraz silniej. Lecz już go siły opuszczały... po chwili zatoczył się i runął ciężko na próg otwartych drzwi szklanych. — Nina zemdlona leżała na podłodze.

Mój dzielny Maryusz! Jemu winienem tę chwilę odwetu za męczarnie moje przeżyte w la Guardzie.

Skoczyliśmy do wnętrza mieszkania.

Przy pomocy Maryusza uniosłem Ninę i ułożyłem na kanapie. Kiedy po kilku minutach odzyskała przytomność, pierwsze jej wylekłe spojrzenie padło na mnie, kłęczącego przy jej głowie.

— Pan Lionel Fontaine? — wyszeptala z trudem, poznawszy mnie.

— Tak, to ja, moje biedne dziecko. Dowiedziałem się przed chwilą o heroicznym czynie twojego znanego ojca i odtąd czuję, że niczem nie potrafię spłacić wielkiego długu wdzięczności, zaciągniętego względem niego i ciebie, odważne dziecko moje.

Mówiąc to rozdarłem w drobne kawałki papier, oskarżający jej ojca, a który z trudem wydobyłem z zaciśniętej ręki Lopeza. Błądą młodej dziewczyny rozjaśniła się uśmiechem na ten widok. Wyciągnęła do mnie dłoń i szepnęła cicho:

— Dziękuję... Misja moja wypełniona... skoro już nie mam nic więcej do wyjawienia panu...

Uściskałem silnie tę drżącą rękę i pochylając się ku niej, wyrzekłem poważnie:

— Pani nie ma mi nic więcej do wyjawienia... ale ja teraz będę miał coś ważnego do zakomunikowania pani. Czy zechcesz mnie wysłuchać?

Pochyliła głowę, uśmiechając się łagodnie.

W pół godziny później odjeżdżałem automobilem z Maryuszem i Niną, którą chciałem powierzyć chwilowej opiece jednej dobrej mojej znajomej, oraz z panem Parpaing, który miał natychmiast poinformować dyrektora policji o tragedii, odegranej w willi „Iridée“.

Odjeżdżając, Parpaing pozostawił na miejscu detektywów swoich, z surowym nakazem strzeżenia drzwi pokoju, znajdującego się na pierwszym piętrze willi, gdzie zamknęliśmy na klucz Lopeza, wraz z siostrą i Manuellą.

Ale kiedy w parę godzin później przybyła policja z zamiarem aresztowania całej rodziny — zastała już tylko stygnące zwłoki. Nędznicy otruli się, wyprzedzając wymiar sprawiedliwości...

Upłynęło kilka miesięcy. W pogodny jeden dzień wiosenny parowiec „Nawara“ unosił mnie z Niną, która od kilku dni była moją żoną, ku la Guardzie, gdzie mieliśmy zamieszkać jakiś czas. Towarzyszył nam wierny Maryusz. Postanowił on resztę swojego życia poświęcić służbie naszej.